

Urodzinowe
Życzenie

Beata Czesla

Urodzinowe
Życzenie

*J*ako autorka chciałabym skierować jeszcze kilka słów podziękowania pod adresem dwóch bardzo bliskich mi osób. W pierwszej kolejności dziękuję za wsparcie mojemu mężowi Rafałowi, za jego wytrwałe i dzielne znoszenie niemal przymuszania do przeczytania nowo napisanych fragmentów historii :).

Następnie dziękuję mojej kochanej siostrze Karolinie za bycie pierwszym recenzentem całości powieści. Dziękuję za jej pomoc, życzliwość i budującą wiarę w sukces.

Kochani z całego serca Wam dziękuję i bardzo Was kocham!

Rozdział 1

Dobra, to jeszcze jeden mail i stąd wychodzę. Matko, co za dzień... Nawet nie wiem, kiedy zrobiła się dzisiaj 15:00. W takie dni jak ten dziękuję Bogu, że Pan Antoni nie ogranicza nas sztywnymi ramami czasowymi. Skoro cały tydzień siedziałam w kancelarii po dziesięć godzin, to dzisiaj mogę wyjść po sześciu. W końcu robota jest zrobiona, a zresztą zawsze mogę skończyć wieczorem.

Dopiłam resztki zimnej herbaty, spakowałam materiały potrzebne do pracy w domu i sprawdziłam pozostałe gabinety, czy przypadkiem gdzieś nie pali się jeszcze światło. Kiedy weszłam do gabinetu Bartka, zauważyłam, że na biurku leży jego portfel. Co za typ – pomyślałam – ten facet kiedyś zapomni głowy.

Wróciłam do swojego biura, napisałam krótkiego SMS-a Bartkowi, by uchronić go przed ewentualnym zawałem i stawianiem połowy miasta na nogi w poszukiwaniach jego zguby. Następnie wzięłam torebkę z aktówką oraz moją śliczną ramoneskę w kolorze pudrowego różu i wyszłam.

Gdy opuszczałam biurowiec, dotarło do mnie, jaka jest piękna pogoda. Jak na koniec kwietnia było bardzo ciepło, wiał lekki, przyjemny wietrzyk, a dookoła unosił się ten charakterystyczny zapach wiosny, którego nigdy nie umiem opisać słowami, ale zawsze jestem w stanie go rozpoznać – nieważne, czy jestem w mieście, czy na wsi u rodziców. Zawsze jest on taki sam. W sumie to ciekawe, czy ktoś jeszcze też tak ma, że czuje jakiś zapach i nie może go opisać, ale zawsze kojarzy mu się z jakimś zjawiskiem.

Potrząsnęłam głową, wyrrywając się z tych górno-lotnych przemyśleń. Postanowiłam wrócić do domu na piechotę. Jutro rano idę na siłownię, więc w drodze powrotnej zgarnę auto, a teraz wykorzystam pogodę i się przespaceruję, zwłaszcza że dziś nie mam czasu na trening, bo na 17:00 mam umówioną wizytę u kosmetyczki, a potem fryzjera. No cóż, za kilka dni kończę 30 lat, więc to, że będę stara, nie znaczy, że muszę być zapuszczona.

Z taką myślą pomaszerowałam w kierunku mojego mieszkania. Mieszkałam w sumie niedaleko, bo jakieś 15 minut spacerem od kancelarii, jednak po przejściu dwudziestu metrów doszłam do wniosku, że nie był to dobry pomysł. Marsz na dwunastocentymetrowych szpilkach to zabójstwo. No ale

nic, przecież nie będę się wracać. Zacisnęłam zęby i ruszyłam dalej.

Kiedy doszłam do domu, w duchu klęłam, na czym świat stoi i zaklinałam się, że już nigdy w życiu nie założę na nogi szpilek. Oczywiście takie deklaracje padały z moich ust średnio dwa razy dziennie. Nie czarujmy się jednak – moja miłość do obcasów była silniejsza niż ból nóg.

Resztkami sił wdrapałam się na trzecie piętro i weszłam do mieszkania. Szybko pognałam do sypialni, żeby się przebrać i zdążyć coś zjeść przed wyjściem do kosmetyczki. Otworzyłam szafę. Zdecydowałam się na dżinsowe rurki oraz luźny bladoróżowy T-shirt, który niedbale opadał z mojego ramienia. Do tego białe trampki i beżowa ramoneska.

W drodze powrotnej, zadowolona z efektów pracy moich drogich pań w salonie, wstąpiłam jeszcze na zakupy, by wyposażyć trochę lodówkę, bo w przeciwnym razie do jedzenia zostanie mi tylko światło...

Rozpakowując zakupy, usłyszałam, że w salonie na kanapie dzwoni mi torebka. O tej porze jedyną osobą, która może do mnie dzwonić, jest Bartek. Kiedy wygrzebałam z niej telefon, spojrzałam na wyświetlacz. Faktycznie, nie pomyliłam się – to był on.

- Halo, co tym razem? Czego nie umiesz napisać po polsku albo kto znowu chce przekupić twojego świadka?

- Że co proszę? Czy ty właśnie podałaś w wątpliwość moje umiejętności posługiwania się poprawną, piękną polszczyzną? A tak w ogóle to może najpierw ładnie się przywitasz? Gdzie twoje maniery, pani mecenas?

- Dobra, więc „ładnie się witam”, a teraz mów, o co biega, bo akurat rozpakowuję zakupy.

- A kupiłaś lody albo wino? - jego uzależnienie od lodów da się zauważyć na każdym kroku.

- Ej, gadaj, o co chodzi. Tak, kupiłam całe wiadro lodów dla ciebie.

- Kocham cię!!! Tylko że znowu potem będę musiał wyciskać siódme poty na siłowni.

- O, jakże mi przykro! Bartek, nie gadaj tyle, tylko mów, co się stało. - Matko, ile facet się nagada, zanim powie, o co mu chodzi.

- Właśnie rozmawiałem z ojcem i uraczył mnie informacją, że dołącza do nas nowy wspólnik...

- Co? A co się stało? - Zatkąło mnie trochę. - Pan Antoni nie wspominał nic, że potrzebujemy kogoś jeszcze. Poza tym Gosia miała do nas dołączyć, jak Oliwia pójdzie do przedszkola od września.

- Tak, taki był zamiar, ale Gocha trochę wypadła z obiegu po takiej długiej przerwie. Poza tym w domu z trójką dzieci ma co robić, a Robert ostatnio podchwycił jakieś zajebiste projekty, więc na kasę nie musi patrzeć i postanowiła, że na razie zostanie w domu.

- O! Myślałam, że chce się już wyrwać z tych czterech ścian. Zawsze to powtarzała, jak przychodziła do kancelarii w „odwiedziny”. A zresztą to jej decyzja i nie moja sprawa. Lepiej mów, co to za typ.

- Dawid Pokora. W sumie to tak trochę po znajomości dołącza do nas.

- Po znajomości? - zdziwiłam się. Pan Antoni zawsze powtarzał, że nie toleruje obsadzania stanowisk w ten sposób.

- No tak trochę... To jest syn przyjaciela taty. Kurde, nie znam gościa dobrze, wiem tylko tyle, że jest trochę starszy od nas. Wraca ze Stanów, gdzie był na kontrakcie. Specjalizuje się w prawie międzynarodowym, a do tego jest tłumaczem przysięgłym i ojciec stwierdził, że warto by było mieć kogoś takiego u siebie.

- Hmm, no nic, zobaczymy, co to będzie za okaz. A tak odbiegając od tematu, jutro widzimy się na siłowni?

- Jeszcze pytasz? Oczywiście, że tak. O formę na lato trzeba dbać, co nie?

- Bartuś, o formę to się dba na lata, a nie na lato!!!

- Tak, wiem, mamusiu, i też cię kocham! Dobra, idź pakować te zakupy, pogadamy jutro. A, czekaj...

- zawołał, gdy chciałam już się rozłączyć. - Urodziny masz w sobotę. Twoi starsi przyjadą, czy ty jedziesz do nich?

- Raczej ani jedno, ani drugie, bo umówiłam się, że na Dzień Matki zrobimy imprezę. Więc tak, zapraszam w sobotę.

- No wiesz... - powiedział z udawanym fochem.

- Tak tylko pytałem. Z troski.

- Tak, wiem. Musiałabym znać cię od wczoraj. Byłam pewna, że tej okazji mi nie podarujesz - odparłam ze śmiechem. - Dobra, to życzę panu dobrej nocy i regeneruj się przed jutrzejszym treningiem.

- Dobranoc, tobie też kolorowych. Pa!

Po tych słowach rozłączył się, a ja wróciłam do kuchni, by dokończyć rozpakowywanie zakupów. Następnie zaparzyłam sobie herbatę i poszłam się wykąpać. W łazience jeszcze raz podziwiałam mój odświeżony kolor włosów, który znowu przypominał kolor płomieni - czyli taki, jak lubię.

Rozdział 2

Ten tydzień minął jak z bata strzelił. Do środy praktycznie non stop byłam jak nie w sądzie, to u klienta. Jak nie u klienta w siedzibie, to miałam z nim spotkanie na mieście. W kancelarii byłam właściwie gościem. Wpadałam tylko po to, by zabrać niezbędne dokumenty.

Dodatkowo wszystko piętrzyło się przez długi weekend majowy. A ja chciałam załatwić jak najwięcej, by w czwartek mieć mniej do roboty i zorganizować małą imprezę w pracy z okazji moich urodzin, które wypadały w tym roku w sobotę. Kolejny tydzień zapowiadał się jeszcze bardziej pracowicie, więc wołałam zrobić to wcześniej, bo w czwartek wszyscy już żyli majówką, robili listy zakupów i biegali po sklepach w pogoni za karkówką na grilla.

Z racji tego, że moja babcia zaszczepiła we mnie miłość do gotowania i pieczenia przygotowałam wszystko sama. Tym bardziej, że wiedziałam, jak moja ekipa kancelaryjna ceni sobie domowe jedzenie. A w związku z tym, że Zalewscy z dań głównych najbardziej lubili makowiec, upiekłam dwa rodzaje

ciasta – dla pana Antoniego jego ulubione Rafaello z białą czekoladą, które jadł już chyba ze sto razy i za każdym razem nie mógł się go nachwalić, oraz zielonego Shreka z galaretką i delicjami dla dzieciaków Małgosi, która miała wpaść na poczęstunek – a także tradycyjny tort (taki, jaki zawsze robiła moja babcia). Nie powiem, urobiłam się konkretnie, ale wiedziałam, że było warto.

W czwartek rano wstałam trochę wcześniej, by się wyszykować. Zrobiłam makijaż, a rudą płataninę włosów przeobraziłam w luźne loki opadające na ramiona. Zadowolona z siebie pomaszerowałam do sypialni, żeby się ubrać. Na dzisiaj wybrałam czarną ołówkową sukienkę przed kolano, cytrynowy żakiet i oczywiście piękne cytrynowe szpilki. Patrząc na siebie w lustrze, miałam wrażenie, jakby czegoś mi brakowało. Po chwili namysłu wyjęłam ze szkatułki długi srebrny naszyjnik, który składał się z pięciu cienkich żyłek różnej długości. Do uszu wpięłam srebrne kolczyki w kształcie kulek i dopiero teraz byłam zadowolona z końcowego efektu. Z racji tego, że dzisiaj miałam tonę rzeczy do zniesienia do auta, w tym ciasta, nie ryzykowałam maratonu po schodach w szpilkach. Dlatego też na moment zmieniłam eleganckie obuwie na moje różowe, futerkowe

kapcie i zaczęłam swoje tourne do auta i z powrotem. Na klatce spotkałam sąsiada.

- Dzień dobry, panie Franku! - przywitałam się, ale po minie widziałam, że był trochę skołowany na widok moich „wyjściowych” butów, które nie do końca pasowały do całości.

- Dzień dobry, Maju - odpowiedział. - Wycho-
dzisz do pracy tak wcześnie?

- Tak. Dzisiaj muszę być trochę wcześniej.

- Wiesz, chyba trochę za bardzo się spieszysz -
zagadnął niepewnie.

- Dlaczego tak pan myśli? - zapytałam z cieka-
wioną jego reakcją.

- Może i nie nadążam za tymi całym, waszy-
mi trendami i jestem starej daty, jak to mówi moja
wnuczka, ale chyba te buty trochę nie pasują do cie-
bie - powiedział niepewnie, lekko zmieszany.

- A, buty! - Roześmiałam się. - Spokojnie, panie
Franku, zaraz je zmienię, proszę się nie martwić. To
tylko chwilowy zamiennik, wygodniejszy od tych wy-
ściowych. Nie chciałam biegać po schodach i stukać
obcasami, a musiałam dwa razy iść do samochodu.
Właśnie pędzę zmienić buty i zabrać torebkę. Ale bar-
dzo panu dziękuję za przywołanie do porządku. Kilka
razy już zdarzyło mi się pędzić do auta w kapciach.

Na te słowa pan Franek zareagował tylko serdecznym uśmiechem i pomachał mi na do widzenia. Uroczy starszy pan! Spokojnie mógłby być moim przyszywanym dziadkiem – pomyślałam i popędziłam do mieszkania po resztę rzeczy, i oczywiście przebrać buty.

Idąc do auta, zauważyłam w szybie swoje odbicie i zorientowałam się, że dzisiaj moja fura szczególnie do mnie pasuje. Cytrynowy Fiat 500 idealnie współgrał z moim ubiorem. A to ci dopiero – pomyślałam, wsiadając do środka, i ruszyłam w kierunku biurowca.

Po dotarciu na miejsce wniosłam wszystko do kancelarii, następnie pięknie zastawiłam stół i włączyłam klimatyzację, by szlag nie trafił ciasta, nim zaczniemy je jeść. Potem poszłam do swojego gabinetu, aby trochę jeszcze popracować, zanim na całego zaczniemy świętować.

Nie wiem, ile czasu minęło, kiedy znad laptopa oderwało mnie głośnie pchnięcie drzwi i odśpiewane „Sto lat”. Byłam tak zaskoczona, że zaniemówiłam. Do gabinetu wmaszerowali pan Antoni z żoną Marią, Bartek i Gosia ze swoimi pociechami.

Byli dla mnie jak rodzina. Państwo Zalewscy traktowali mnie jak swoją drugą córkę, Gosia zaś była dla mnie jak starsza siostra. Jej dzieciaki były kochane, a Bartek... Hmm, nie mogłabym powiedzieć, że

był dla mnie jak brat, bo kiedyś próbowaliśmy coś trochę kręcić razem, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło i zostaliśmy przyjaciółmi. Jednak kiedyś, będąc już trochę wstawieni, na jednej z imprez studenckich przyrzekliśmy sobie, że jeśli żadne z nas do momentu ukończenia 35 lat nie weźmie ślubu, to się pobierzemy. Będzie to czysto praktyczny układ.

Po odśpiewaniu „urodzinowego hymnu” wszyscy stwierdzili, że będą przesądni i życzenia złożą mi telefonicznie w sobotę, jednak dzisiaj wręczą mi prezenty. Pan Antoni podał mi piękną orchideę, *notabene* w kolorze cytrynowym. Co za zrządzenie losu – pomyślałam.

Do tego pani Maria przekazała mi torebkę z „nie-wielkim” upominkiem. Ucieszyłam się jak mała dziewczynka i od razu go odpakowałam. W środku były dwa czarne pudełka – jedno kwadratowe, a drugie prostokątne. Jako pierwsze wyjęłam dłuższe pudełko. Odwróciłam je i moim oczom ukazał się napis „PARKER”. Po otwarciu zobaczyłam piękny zestaw: bordowe pióro Parker z wygrawerowanym moim imieniem i nazwiskiem oraz identyczny długopis. Drugie pudełko zawierało śliczny złoty zegarek wysadzany kryształkami Swarovskiego na złotej bransolecie.

Tak się wzruszyłam, że do oczu napłynęły mi łzy, a w gardle zacisnęła się kula. Widząc to, pan Antoni powiedział do żony:

- A nie mówiłem ci, Marysiu, żeby nie kupować zegarka? - Następnie zwrócił się do mnie: - Majka, nie martw się, możemy go oddać i kupimy coś innego... - Wiedziałam, że żartuje, ale dalej stałam jak słup soli i nie mogłam wydusić z siebie słowa. Po chwili wszyscy wybuchnęli śmiechem, a ja płakałam i śmiałam się jednocześnie. Kiedy po policzkach popłynęły mi łzy szczęścia, Bartek nie omieszkął przywołać mnie do porządku.

- Ej, nie becz, bo makijaż ci się zaraz rozmaże. - Po tej reprimendzie faktycznie wzięłam głęboki oddech i się ogarnęłam.

Następnie wszystkim podziękowałam za prezenty i zaprosiłam do sali konferencyjnej na poczęstunek. Siedzieliśmy i gadaliśmy. Dzieciaki bawiły się w kącie w prawników - to chyba faktycznie jest u nich genetyczne. Z sielanki wyrwał nas dzwoniący telefon pana Antoniego.

- Przepraszam was, moi drodzy, ale muszę odebrać.
- Powiedziawszy to, wyszedł do swojego gabinetu.

- Na nas już też chyba pora, dzieciaki? - odezwała się Małgosia. - Musimy jeszcze zrobić zakupy, bo jutro jedziemy do dziadków na majówkowego grilla.

- Bartek, my też się już zbieramy, co? - powiedziała pani Maria. - Pomożemy Mai tu trochę uprzątnąć i pojedziemy. Ojciec ma mieć jeszcze jakieś spotkanie dzisiaj.

- Dziękuję pani Mario, ale nie trzeba, dam sobie radę - powiedziałam. - Poczekajcie tylko chwileczkę, zapakuję wam resztę ciasta. Jutro do kawy będzie jak znalazł.

- Chętnie, kochanie - odpowiedziała pani Maria z szerokim uśmiechem wdzięczności. - Jednak coś czuję, że jak Antoni wróci, to jutrzejszą kawę przełoży na dzisiaj. Jeśli chodzi o jedzenie, to zawsze mówi, że to, co masz zjeść jutro, zjedz dzisiaj. Bo nie wiadomo, czy jutro dożyjesz, a szkoda, by się zmarnowały takie pyszności. - Po tych słowach wszyscy jednocześnie wybuchnęliśmy śmiechem.

- Mamo, gdyby tata to usłyszał, znowu przez tydzień zawracałby mi głowę, że jutro idzie biegać, i czy idę z nim. Więc bardzo cię proszę, mów ciszej.

- Oj, Bartek, wszyscy dobrze wiemy, że ulubionym sportem ojca jest piłka nożna, ale oglądana z kanapy, z paczką ciastek na kolanach i kubkiem gorącego mleka w dłoni. Zatem nie gadaj tyle, tylko pomóż nam zbierać ze stołu.

Kiedy wszyscy dostali swoje pakunki i pożegnali się, zebrałam najpotrzebniejsze rzeczy i też wyszłam

z kancelarii. Zbliżając się do parkingu, zobaczyłam, że moja 500-tka ma zablokowany wyjazd przez jakiegoś kosmicznego mercedesa. Kurwa mać. Co za palant tak zaparkował? Myśli, że jak ma mercedesa, to wolno mu parkować wszędzie – warczałam do siebie.

Zaczęłam się rozglądać czy przypadkiem nie wiadać gdzieś zacnego właściciela auta blokującego moje. W pobliżu jednak nie było żywej duszy. Po dziesięciu minutach wystawania przy aucie niczym kołek, rozboleły mnie już nogi, więc wsiadłam do samochodu. Jedyne, co mi pozostało, to czekać, aż jaśnie pan wróci i odjedzie swoją zabaweczką. Przesiedziałam w aucie półtorej godziny, przejrzałam już chyba pół Internetu. Przeczytałam kilka wyroków sądowych.

Po tym czasie zauważyłam, że w kierunku auta idzie jakiś facet. Byłam tak wkurzona, że aż mnie nosiło – tyle czasu zmarnować przez to, że jakiemuś dupkowi nie chciało się przejść kilku kroków więcej z tyłu parkingu. Napuszona niczym lew wysiadłam i poczekałam, aż typek podejdzie bliżej.

- Witam, nie wiem, gdzie robił pan prawo jazdy, ale musiała to być jakaś licha szkółka, skoro tak nauczycieli pana parkować – wypaliłam.

- Dzień dobry, nie wiem, gdzie panią uczyli jeździć, ale stojąc na pani miejscu, spokojnie

wyjechałbym autobusem z zamkniętymi oczami – odpowiedział beczelnie.

– Nie dość, że zrobił pan źle, to jest pan jeszcze beczelny.

– Ja jestem beczelny pani zdaniem? Przepraszam najmocniej, ale to nie ja naskoczyłem na panią bez powodu. Jednak skoro tak pani uważa, nie będę pani wyprowadzał na siłę z błędu. Proszę jedynie uzbroić się w cierpliwość i za sekundę będzie pani mogła wyjechać swoim czołgiem. Żegnam i życzę miłego dnia. – Po tych słowach posłał mi szeroki uśmiech i wszedł do auta, odpalił silnik, a następnie ruszył z piskiem opon, machając do mnie niczym królowa angielska.

– Bezczelny, niewychowany dupek! – zawołałam głośno. Wsiadłam do samochodu i pojechałam do domu.

Rozdział 3

Ja pierdolę, co się dzieje?! Wskoczyłam z łóżka na równe nogi. Ktoś dobijał się do drzwi mieszkania. Ale tak, jakby stado słoni próbowało je staranować. W pierwszym momencie pomyślałam, że się pali, lecz zaraz oprzytomniałam. Przecież mam czujniki dymu, nic nie wyje, więc to nie pożar.

Odczekałam chwilę, lecz walenie w drzwi nie ustało, więc złapałam szlafrok i pospiesznie poszłam sprawdzić, co się dzieje. Kiedy otworzyłam drzwi, stał przede mną ogromny bukiet różowych róż, który na dodatek śpiewał „Sto lat”. Stałam z otwartymi ustami, nie mogąc się ruszyć z zaskoczenia. Po chwili zza bukietu wyłonił się Bartek, rzucając się na mnie z uściskami i całusami oraz potokiem życzeń.

- Wszystkiego najlepszego, dużo zdrowia, szczęścia, pomyślności, samych dochodowych spraw, przychylnych sędziów i adwokatów fajtłap po drugiej stronie oraz fury pieniędzy.

- Dzięki, Bartek - Kiedy doszłam do siebie, podziękowałam za życzenia i wciągnęłam go za rękaw do mieszkania. - Kurwa, nie rób tak więcej! Wiesz,

która jest godzina? Mało zawału nie dostałam. Myślałam, że się pali.

- No właśnie bardzo dobrze wiem, która jest godzina. I data, co ważniejsze. Jest drugi maja, godzina 0:08. A co do pożaru, to przecież masz czujniki dymu, trąbo.

- Ha, ha, ha, bardzo śmieszne. Podziękuj tym różom, bo tylko za ich sprawą nie popełniłam przestępstwa z art. 148 Kodeksu karnego! - powiedziałam, zabierając bukiet od Bartka.

- No wiesz co! To człowiek jedzie przez pół miasta, wyśpiewuje pod drzwiami, a w podzięce jest szantażowany. Nie wiem, gdzie byłaś, jak profesor Pierchała miał wykład na temat szantażu.

- Wypchaj się! Jeszcze słowo, a uwierz mi, że jak kopnę cię w dupę, to zmienisz galaktykę.

- Dobra, koniec. „Pierdolenie o Chopinie”. Domyślałam się, że szampana w lodówce brak? - zagadnął, otwierając ją.

- A byś się zdziwił - odpowiedziałam. - Co prawda, obstawiałam, że się pojawisz, ale dopiero koło południa. - Wskazałam palcem na górną półkę lodówki.

- O, w mordę! Nie wierzę! Moët & Chandon Rose Imperial razy dwa! - przeczytał, wyciągając butelki.

- No co? Jak nie chcesz, to mam jeszcze musujące Martini.

- Nie ma mowy! - powiedział, maszerując do salonu. - Dobra, mało ważne, bierz kieliszki i idziemy świętować.

- Ej, myślałam, że świętować będziemy jutro - zawołałam.

- Chciałem ci powiedzieć, moja droga, że jutro to już będzie po twoich urodzinach - odkrzyknął, majstrując przy opakowaniu korka butelki. - Chyba starość ci się udziela. Jutro będzie już trzeci maja, a o ile dobrze kojarzę, to urodziny masz drugiego.

- Fakt! Wygrałeś, nie pomyślałam! - odparłam zaskoczona. Bartek świetnie potrafił łapać za słówka.

Po opróżnieniu jednej butelki Moëta zgodnie stwierdziliśmy, że drugą zostawimy na popołudniowe świętowanie, a przed snem dopijemy jeszcze Martini. Po dwóch butelkach trochę szumiało nam w głowach, jednak nastroje dopisywały wyśmienicie. Gadaliśmy, śmialiśmy się i wspominaliśmy dawne dzieje do 4:00 nad ranem.

Kiedy się obudziłam, nie do końca wiedziałam, co się stało, ale po chwili przypomniał mi się recital Bartka pod moimi drzwiami.

- Cześć! - Usłyszałam. - Nie chciałem cię budzić, ale zrobiłem ci urodzinowe śniadanie. Więc bądź tak

łaskawa i zbieraj swoje zwłoki do łazienki. Ogarnij się trochę, by wyglądać, jak na solenizantkę przystało.

- A co ty tu robisz? - zapytałam, siadając na łóżku trochę skołowana. - Myślałam, że poszedłeś do domu. Kurde, Bartek, nie byłam tak nawalona, żeby nic nie pamiętać, co?

- Proszę cię! Po szampanie chciałabyś być nawalona? Chyba faktycznie starość cię dopada - odpowiedział wesoło.

- Ej, ale byliśmy na kanapie... Chyba... - Po tych słowach Bartek tak ryknął śmiechem, że aż podskoczyłam.

- Ja cię bardzo proszę, Maja, ale chciałbym dożyć tego tortu lodowego, który masz w zamrażarce. A mało to razy zanosilem cię do łóżka, kiedy na siłę rylaś do egzaminów? Jeśli nie przestaniesz pierdolić, to faktycznie pomyślę, że masz demencję starczą. Ile razy spaliśmy w jednym łóżku? Maja, te czasy szczeniackie już nam obu minęły. A umowa jest jasna: zdrowa relacja i nic po pijaku. Więc możesz być spokojna. Dobra, zbieraj się... - Popatrzyłam na niego i, kwitując, pokazałam mu język, na co w odpowiedzi dostałam ścierką kuchenną, którą trzymał w ręce.

Wstałam, posłałam łóżko i faktycznie poszłam się ogarnąć. Było mi trochę głupio po mojej reakcji. Biorąc jednak pod uwagę to, że w przeszłości zdarzało się

nam trochę „napsocić”, sama siebie usprawiedliwiałam w duchu, że mogłam tak zareagować. Wiedziałam też, że Bartek się nie obrazi, bo obecnie, mimo naszych wybryków z młodości, byliśmy najlepszymi przyjaciółmi.

W łazience szybko wzięłam prysznic, zrobiłam delikatny makijaż, włosy spięłam w kucyk i poszłam do mojej minigarderoby. Nie do końca wiedziałam, w co chcę się dzisiaj ubrać. Ostatecznie postawiłam na swobodę. Założyłam czarne legginsy i luźną bluzkę w jaskrawo różowym kolorze.

Po wejściu do kuchni замуrowało mnie. To, co zobaczyłam, sprawiło, że straciłam zdolność mówienia. Stałam z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami.

– Wszystkiego najlepszego jeszcze raz! – zawołał Bartek. – Chciałem, żebyś nie czuła się staro, dlatego pomyślałem, że śniadanie w takim stylu będzie odpowiednie.

W kuchni było mnóstwo białych i różowych balonów. Na stole w wazonie stały róże, które dostałam w nocy, a obok nich czekało śniadanie podane niczym w hotelach. Do wyboru były świeże bułki, maślane rogałe, gofry, dżem, serek, wędlina oraz sałatka caprese. Do tego jeszcze mój ukochany serek wiejski i jajko na miękko. W kubkach parowała gorąca kawa z mlekiem,

której aromat, połączony z zapachem świeżego pieczywa i pomidorów, wypełniał całą kuchnię. Obok stołu stał, szczerząc się do mnie, dumny jak paw Bartek. Widział, że dosłownie wywaliło mnie z butów.

- Zapraszam do stołu solenizantkę - powiedział.
- Chyba nie będziesz tak sterczeć w progu i się przyglądać. Nie po to zrywałem się o świcie do piekarni, żebyś teraz się na to gapiła. Siadaj i jemy, bo ja umieram już z głodu.

- Bartek, ale kiedy... - Zaczęłam coś tam mamrotać, powoli przyzwyczajając się do tego niecodziennego widoku.

- O matko, kiedy?! No jak spałaś. Przecież nie wczoraj - odparł i teatralnie przewrócił oczami.

- Ja nie wiem, co mam powiedzieć... - Urwałam.

- Wystarczy: „Bartek, dziękuję ci bardzo, jesteś najcudowniejszym facetem na świecie” - odpowiedział niedbale.

- Wiesz, pierwszy raz muszę ci przytaknąć... - Powoli wracając do siebie, zmrużyłam oczy i z lekką nutką sarkazmu dodałam: - Bartek, bardzo dziękuję, jesteś najcudowniejszym facetem na świecie. - Po tych słowach zasiadłam do stołu.

Podczas śniadania gadaliśmy o pierdołach, żartowaliśmy, a ja czułam się tak szczęśliwa jak mała

dziewczynka w dniu swoich wyczekiwanych urodzin. Bartek faktycznie był cudownym przyjacielem.

Po śniadaniu uprzątnęliśmy ze stołu i omówiliśmy plan dzisiejszego dnia. Ustaliliśmy, że teraz każde wraca do swoich zadań i spotykamy się o 16:00 na drugą część imprezy. W ciągu dnia odebrałam telefony z życzeniami od rodziców, reszty rodziny i przyjaciół, ale jakoś nie mogłam doczekać się popołudnia. Faktycznie cieszyłam się jak dziecko na swoje przyjęcie urodzinowe.

O 16:00 zjawił się Bartek ubrany w przetarte dżinsy, białe T-shirt i ciemną marynarkę. Na nogach miał białe trampki. Niczym nie przypominał prawnika, którym był na co dzień. Choć w sumie jak się zastanowię, to w kancelarii też nie przypominał prawnika. Roztrzepany, wesoły gaduła, którego było zawsze wszędzie pełno.

- Jasna cholera, ale pachnie. Co dobrego dla nas robisz? - zapytał, unosząc głowę do góry i wachając niczym pies czujący coś dobrego do jedzenia, a następnie skierował się do kuchni.

- Kurczaka w sosie żurawinowym, pieczone ziemniaki i sałatkę z serem camembert. A na deser twój ulubiony tort lodowy. Może być?

- Maja... Kocham cię! Naprawdę cię kocham. Wyjdź za mnie - powiedział i oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

- Dobra, nakryj do stołu, a ja skończę szykować i świętujmy. - Podałam mu talerze i sztucce.

Siedzieliśmy, jedząc i popijając drugą butelkę Moëta i gadaliśmy o różnych rzeczach istotnych i o błahostkach. Nieskromnie muszę powiedzieć, że jedzonko wyszło mi całkiem dobre.

- Maja, tak mnie naszła teraz taka chwila zadumy, wiesz? - rzekł nagle Bartek. - Tak sobie pomyślałem, że mamy po 30 lat, i co takiego w naszym życiu się wydarzyło? Co ty możesz powiedzieć o swoim?

- Hmm... W sumie to nie zastanawiałam się nad tym. Szczerze mówiąc, praca tak mnie pochłania, że jakoś zapomniałam, że jest jeszcze druga strona życia - powiedziałam, wpadając w nastrój zadumy, jaki stworzył Bartek.

- Czego zawsze chciałaś tak w głębi duszy, o czym marzyłaś? - zapytał, wbijając wzrok w kieliszek, którym się bawił.

- Właściwie to od dziecka marzyłam, żeby zostać prawnikiem. Moim rodzicom nie do końca podobała się ta wizja i początkowo próbowali mi wyperswadować ten pomysł z głowy. Mama chciała, bym poszła w jej ślady i dołączyła do grona skrupulatnych księgowych. Ale ja ciągle się upierałam i powtarzałam, że nie będę sfiksowaną księgową, która o trzeciej

w nocy wstaje, bo przypomniało jej się, gdzie może być ta różnica jednego grosza w bilansie. Tacie raczej obojętne było to, co będę robić, byle bym nie tańczyła na rurze w *night clubie* i skończyła jakąś „mądrą” szkołę. Więc się zapałam i powoli zmierzałam do celu. Pamiętam, że wieczorami, zanim zasnęłam, zawsze wyobrażałam sobie siebie w todzie na sali sądowej, jak wygłaszam mowę, jak zadaję pytania świadkom. Wiesz, to było aż nieprawdopodobne, bo czasami nawet czułam zapach sądu... - Urwałam. - To głupie, wiem...

- Nie, to nie jest głupie. Popatrz, Maja, osiągnęłaś to, co chciałaś. Jesteś prawnikiem, i to doskonałym. Ojciec często powtarza, jaki jest zadowolony z twojej pracy. Więc chyba swoje marzenia spełniłaś...

- Może i masz rację, ale marzyłam jeszcze o jednym...

- O? - zapytał Bartek, patrząc na mnie z uniesionymi brwiami.

- Nie. Daj spokój, zmieńmy temat - powiedziałam, kręcąc głową. - Nie będę się rozwodzić nad tym, czego nie mam, i na co też nie mam wpływu.

- No dawaj. Mów. Pomyśl, że może w wieczór swoich trzydziestych urodzin przyciągniesz do siebie to, o czym marzysz.

- Taaa! Na pewno... Bartek, takie rzeczy się nie dzieją. Proszę cię! - powiedziałam lekkim, kpiącym tonem. - Coś ty się naoglądał jakichś programów o mocach nadprzyrodzonych?

- Nie, ale czytałem ostatnio ciekawą książkę. Pożyczę ci, jak chcesz. Ale teraz mów! - rozkazał. Nie chcąc się sprzeczać i rozpoczynać wojny na słowa, zaczęłam swój wywód.

- No więc... Moim drugim największym marzeniem, które, jak widzisz, się nie spełniło i raczej nie ma na to widoków, było życie u boku kochającego, przystojnego, romantycznego, wesołego, ale i odpowiedzialnego facecia. Sprawy typu bajkowy ślub, biała suknia księżniczki i weselisko z setką gości to sprawa oczywista, więc nie mówię już o tym. No ale jak sam widzisz, nam pisane wspólne życie nie jest, a pozostali faceci, którzy się przewinęli w mojej przeszłości, albo byli przystojnymi dupkami, albo niezaradnymi życiowo fajtlapami.

- A możesz opisać swojego... „Księcia z bajki”?

- Bartek, przestań, też gadasz jak taka dupa. Ogarnij się, chłopie. Masz jakiś gorszy dzień czy jak?
- Obruszyłam się trochę. Jednak on nie dawał za wygraną, a mi klimat coraz bardziej się udzielał.

- Gadaj, bo teraz dopiero jestem ciekaw - powiedział, zacierając ręce i, wiercąc się na krześle,

przybliżył się tak, jakbym miała mu wyjawić jakiś ściśle tajny sekret.

- Boże, widzisz i nie grzmisz! - odparłam z głośnym westchnieniem i przewróciłam oczami.

Przez chwilę nic nie mówiłam, tylko wpatrywałam się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń ponad głową Bartka. Po chwili ciszy wróciłam do swojego monologu.

- Jak mogłabym opisać faceta z moich marzeń? Chyba tak, jak większość kobiet... Wysoki, dobrze zbudowany, krótkie, ciemne włosy, ułożone w takim, wiesz, „artystycznym nieładzie”, niebieskooki, ogólnie zadbany. To tyle jeśli chodzi o wygląd. A cechy charakteru... Przede wszystkim musi być uczciwy i szczerzy wobec mnie, chciałabym żeby miał taką duszę romantyka. Ale tak subtelnie, bo jakieś mizianie nie wchodzi w grę, nie cierpię tego. No nie wiem, co jeszcze mam powiedzieć. - Zamyśliłam się przez chwilę. - O, wiem. To, czego między nami nigdy nie było... Chciałabym, żeby był trochę o mnie zazdrosny. Nie mówię o chorobliwej zazdrości i zaborczości, ale tak, żeby widziała, że mu zależy, rozumiesz. Nie miałabym nic przeciwko, jakby też był wysportowany i raczej ustatkowany oraz ułożony. Wiesz, o co mi chodzi... Nie umiem tego inaczej powiedzieć. Chciałabym widzieć, że

umiał o sobie zadbać, dzięki czemu będę pewna, że zadba też o nas i naszą rodzinę. Tyle... – skwito- wałam i wzruszyłam ramionami. – Ale tacy faceci chyba nie istnieją, więc... – urwałam i rozłożyłam ręce, wydymając dolną wargę jak mała dziewczynka obrażona na mamę, bo nie kupiła jej lalki.

Bartek siedział i gapił się na mnie, jakbym opowiedziała mu jakąś nieprawdopodobną historię o duchach. Chyba potrzebował chwili, by wrócić na ziemię.

– Maja, znam cię tyle lat... – zaczął mówić, po czym na chwilę zamilkł i się zamyślił. – Wiem, co lubisz robić, jeść, co czytasz, wiem nawet, kiedy masz okres i jakich tamponów używasz, ale od tej strony cię nie znałem.

– No widzisz. Teraz już wiesz o mnie chyba wszystko, wzdłuż i wszerz, łącznie z moimi erotycznymi upodobaniami... – powiedziałam i się roześmialiśmy, co spowodowało, że ta dziwna atmosfera gdzieś się rozplynęła.

Resztę wieczoru przesiedzieliśmy, oglądając filmy i dalej gadając o bzdurach. W międzyczasie Bartek wpadł na pomysł przypomnienia sobie naszych studenckich imprez i poleciał do sklepu naprzeciwko. Zupełnie nie wiedziałam, co ma na myśli, mówiąc

o „naszych studenckich imprezach”. Zrozumiałam, o co mu chodziło, dopiero gdy wparował do mieszkania, niosąc cztery butelki wina musującego, powszechnie zwanego szampanem. Popijając wytrawne Dorato, siedzieliśmy znowu prawie do świtu.